GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

WARSZAWA, 1 MARCA 1938 R.

Nr. 5 ROK VIII

CENA NUMERU ZŁ. 0.90 PRENUMERATA KWARTALNA 4. ZŁ. 50 GR.

GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

Nr. 5

1938 R.

1 — III

Ś. P.

WŁADYSŁAW GRABSKI

Dla tych, którzy wiedzieli o ciężkiej, uporczywej chorobie Władysława Grabskiego bolesna wiadomość o Jego śmierci nie była już niespodzianką. Niespodzianką, od wielu miesięcy, była każda nowa publikacja, rezultat trudu, podejmowanego w stanie zdrowia, który jednostkom słabszym odbiera zdolność i chęć wysiłku. Stojąc już u kresu swego pracowitego żywota Władysław Grabski nie zaniechał tej pracy i tej walki, które stanowiły treść Jego pięknego życia i tyle trwałych śladów pozostawiły w życiu naszym.

Mąż stanu, polityk gospodarczy wielkiej miary, uczony o umyśle twórczym i ruchliwym, wolny od szablonu i szkolarstwa, Władysław Grabski odchodząc z pośród nas pozostawił wielki dorobek pracy. Szczególnym znamieniem tej pracy w oczach naszego pokolenia nie jest wielka zresztą erudycja oraz wielka ruchliwość umysłu, lecz przede wszystkiem najściślejszy związek wszelkich zainteresowań, wszelkich poczynań z rzeczywistością polską oraz głęboki podkład społeczny jego poglądów gospodarczych. Twórca polskiego Skarbu, badacz, który najwięcej przyczynił się do zrozumienia rzeczywistości gospodarczej i społecznej polskiego rolnictwa, nie pozostawia po sobie szkoły, trzymającej się kurczowo formuł mistrza. Ale tem większy był i jest wpływ wychowawczy Władysława Grabskiego, wpływ, którego ślady odnajdujemy nawet w myśleniu tych, co się niejednej Jego tezie przeciwstawiali.

Życzliwość, którą Zmarły nam raczył okazywać, była dla nas, dla zespołu „Gospodarki Narodowej" wielkim zaszczytem. Owoc trudu Jego życia był i pozostaje dla nas — i nie tylko dla nas — wielką pomocą w poszukiwaniu dróg rozwoju gospodarczego Polski.

HENRYK PNIEWSKI

ZABAWA W LOTERIĘ

Podstawowe zasady konstrukcji finansowej nawet skomplikowanych urządzeń i operacyj są dziś niezbędnymi przesłankami dla polityka gospodarczego.

1.

Przypuśćmy, że powierzono nam (tj. czytelnikom i autorowi) zorganizowanie loterii w jakimś kraju. Przeprowadzimy pewne studia wstępne, rozważymy kilka schematycznych bardzo planów projektowanej gry. Zacznijmy od pewnego planu możliwie najprostszego, zbyt prostego na to, aby nadawał się on do bezpośredniego zastosowania w praktyce. Ten plan (nazwiemy go dalej „planem A"), chociaż nie będzie posiadał bezpośredniej wartości praktycznej, pozwoli nam jednak uchwycić pewne istotne momenty gry. Zbieramy pewną ilość graczy, tworzymy pewną *zamkniętą* zbiorowość uczestników gry. Każdy z członków zbiorowości wpłaca nam pewną kwotę, zwaną odtąd „składką brutto". Wszystkie wpłaty następują równocześnie. Z zainkasowanych składek brutto potrącamy pewną z góry ustaloną część na pokrycie kosztów akwizycji, inkasa i administracji, reszta wpłaconych składek („składki netto") stanowi kwotę, przeznaczoną na wygrane, kwotę, która po przeprowadzeniu losowania wróci do zbiorowości uczestników gry w postaci t. zw. „wygranych".

Plan A z punktu widzenia praktyki posiada pewne bardzo słabe strony. Postaramy się te słabe strony usunąć; modyfikując odpowiednio plan A otrzymamy plan B. Zbiorowość uczestników gry miała być w myśl planu A zamknięta, nie było w niej miejsca dla „spóźnionych"; kto równocześnie z innymi nie wziął udziału w grze ten się już nie mógł dostać do zbiorowości graczy. „Spóźnialscy" mogli co najwyżej wziąć udział w grze następnej. Z punktu widzenia akwizycyjnego tworzenie *zamkniętej* zbiorowości graczy nie jest wygodne. Plan B ma się tem właśnie różnić od planu A, że zbiorowość graczy ma być tym razem *otwarta*. Ustalamy, że gra ma trwać np. jeden rok. Zamiast jednego losowania wprowadzimy ciąg periodycznych losowań (np. kwartalnych, miesięcznych, czy nawet cotygodniowych). Składka jest roczna, płatna w całości z góry. Do gry można przystąpić „w każdej chwili", ściślej przed każdym losowaniem. Przypuśćmy teraz, że uruchamiamy nasze przedsiębiorstwo dnia 1 stycznia (jeżeli władze administracyjne nie zgodzą się na ten termin ze względu na święto, gotowi jesteśmy rozpocząć naszą działalność dnia 2 stycznia). W terminie początkowym pewna liczba uczestników wpłaci składki, wzamian za wpłacenie tych składek uzyskują oni prawo uczestniczenia w losowaniu wygranych do końca roku kalendarzowego. Pamiętajmy jednak, że obowiązuje nas teraz plan B, i że w ciągu roku stopniowo będą przystępowały do gry coraz to nowe grupki graczy. Zastanówmy się teraz, jak będzie wyglądał bilans naszego przedsiębiorstwa, sporządzony na dzień 31 grudnia. Zacznijmy od pasywów. W pasywach znajdziemy pewną interesującą pozycję, mianowicie t. zw. „przeniesienie składek". Cóż to za pozycja? Wyobraźmy sobie, że ktoś wpłacił nam składkę nie w terminie początkowym, ale dopiero dnia 1-go lipca i w konsekwencji od tego terminu uczestniczy w grze. Pamiętajmy, że składka przez nas zainkasowana jest składką roczną t. zn. jest ceną uczestniczenia w grze na przestrzeni jednego roku, w danym wypadku od 1 lipca włącznie do 1 lipca następnego roku kalendarzowego wyłącznie. Gdy nadejdzie dzień bilansowy, tj. dzień 31 grudnia nasz gracz będzie miał za sobą dopiero połowę okresu gry, zużyliśmy więc dopiero część jego składki netto, niezużytą część pozostałą rocznej składki netto musimy zarezerwować w bilansie, gdyż ta reszta składki netto ma być zużyta dopiero w ciągu półrocza następującego po dniu bilansowym. Zakładając równe prawdopodobieństwo wygranej na obszarze całego roku (czyli raczej w poszczególnych odcinkach roku), możemy stwierdzić, że dla gracza, który wpłacił składkę dnia 1 lipca, należy w bilansie zarezerwować $\frac{1}{2}$ składki netto plus ewentualnie połowę zawartego w składce brutto dodatku na koszty administracji (dodatek na koszty akwizycji, na koszty inkasa i „pierwsza" połowa dodatku administracyjnego zostały już od dnia bilansowego wydane). Zupełnie analogicznie do wpadku wyżej rozpatrywanego należy dla gracza, który zapłacił składkę dnia 1-ego kwietnia, odłożyć w bilansie przeniesienie składek w wysokości $\frac{1}{4}$ składki netto (plus ewentualnie $\frac{1}{4}$ dodatku administracyjnego), a dla gracza, który przystąpił do gry dnia 1 października, należy odłożyć $\frac{3}{4}$ składki netto wraz z odpowiednią częścią dodatku administracyjnego.

Naszym zadaniem było zorganizowanie gry. Do tego zadania zostały dostosowane plany A i B. Jeżeli jednak chodzi o plan B, to zauważmy, że w wypadku jego realizacji obok postawionego zadania zostanie zrealizowany (w skromnym coprawda rozmiarze) pewien nie zamierzony efekt uboczny, należący do dziedziny t. zw. „kapitalizacji pieniężnej". Wykazana w bilansie naszego przedsiębiorstwa suma przeniesienia składek musi być pokryta przez aktywa (lokaty). Mamy tu więc do czynienia z pewnego rodzaju oszczędnością zbiorową, w prawdzie nasi gracze „wyrzucili pieniądze na grę" zamiast je bogobojnie złożyć do kasy oszczędności, ale mimo to część tych „wyrzuconych" kwot do kasy oszczędności jednak dowędrowała.

Przejdźmy teraz do planu C. Rozciągniemy naszą grę na długi okres czasu: kilku, kilkunastu, a może kilkudziesięciu lat. Aby ludzi do takiej gry zachęcić wprowadzimy z roku na rok rosnące prawdopo-

dobieństwo wygranej. Aby ludziom udział w grze ułatwić zrezygnujemy ze składki jednorazowej, a wprowadzimy składkę bieżącą (również płatną rocznie z góry) o stałej wysokości. Z zasady *rosnącego* w miarę lat uczestnictwa w grze prawdopodobieństwa wygranej i zasady *stałości* składki bieżącej wynikają pewne doniosłe konsekwencje natury finansowej. Składka (i to nawet składka netto) ma być stała, niezmienna przez cały, długi okres gry, a tymczasem roczna szansa wygranej będzie systematycznie rosła. Wobec tego w pierwszych latach składka netto będzie z nadwyżką pokrywała sumę wygranych, począwszy od roku dostatecznie odległego od początku gry wpływ z tytułu rocznych składek nie wystarczy na pokrycie sumy bieżących wygranych, będziemy musieli sięgnąć do rezerw, wytworzonych w początkowym okresie działalności. W corocznym bilansie naszego przedsiębiorstwa obok skromnego pasywu „przeniesienie składek" zjawi się nowa poważna pozycja, rezerwa składek". Rezerwę składek będziemy obliczali jako różnicę między wartością przyszłych wygranych, a wartością przyszłych składek netto, przy czem przez „przyszłe wygrane" oraz „przyszłe składki" rozumiemy kwoty, które zostaną wypłacone na rzecz tych tylko osób, które w dniu bilansowym biorą udział w grze, ewentualnie kwoty, które wpłyną również tylko od tych osób. W konsekwencji stwierdzić należy, że wprawdzie przy sporządzaniu bilansu bierzemy pod uwagę *przyszłe* (w stosunku do dnia bilansowego) wpłaty i wypłaty, ale chodzi tu tylko o już aktualnych uczestników gry, a nie o tych, którzy do gry dopiero w przyszłości przystąpić mają. Wbrew pierwszemu wrażeniu nie mamy tu do czynienia z t. zw. „finansowaniem przez przyszłe pokolenia". Co więcej moglibyśmy w ten sposób sformułować regułę obliczania rezerwy składek, żeby w ogóle o przyszłych wpłatach i wypłatach nie mówić. Powiedzieliśmy, że obliczamy rezerwę składek jako saldo wartości przyszłych wygranych i wartości przyszłych składek netto. Innymi słowy mamy obliczyć rezerwę *prospektywną*. Zamiast niej możemy obliczyć rezerwę *retrospektywną*, tj. różnicę między wartością już wpłaconych składek, a wartością już wypłaconych wygranych. Rezultat będzie ten sam w obu wypadkach, gdyż jedno z podstawowych twierdzeń ogólnej matematyki finansowej głosi, że dla operacyj finansowych zrównoważonych (i tylko dla tych operacyj) rezerwa retrospektywna jest stale równa prospektywnej.

Inna sprawa, że możliwe jest opracowanie planu gry, w którym występowałoby finansowanie przez przyszłe pokolenia, realizacja takiego planu byłaby jednak dopuszczalna tylko w tym wypadku, o ile dopływ przyszłych uczestników gry byłby dostatecznie (z punktu widzenia praktyki finansowej) pewny. Taką pewność moglibyśmy mieć np. wtedy, gdyby został stworzony przymus ustawowy uczestnictwa w grze. Inna sprawa, że tak długo dopóki chodzi dosłownie o grę a nie o inne urządzenie finansowe przymus taki byłby zgoła monstrualny.

Dajmy już spokój zasadom obliczania rezerw technicznych. Od tematu interesującego raczej aktuariusza przejdźmy do sprawy interesującej ekonomistę i polityka gospodarczego. Uboczny efekt finansowy (efekt „kapitalizacyjny") który w skromnym już zakresie wystąpił w ramach planu B, wystąpi teraz w sposób okazały. Chcieliśmy tylko zorganizować grę, organizując ją osiągnęliśmy jednak jeszcze jeden donioślejszy zresztą ze społeczno - gospodarczego punktu widzenia od gry rezultat — stworzyliśmy pewien system gromadzenia oszczędności pieniężnych.

Trzeba teraz nie dopuścić do powstania pewnej mylnej sugestii. Pod wpływem wywodów dotychczasowych czytelnik może odnieść mylne gruntownie wrażenie, że albo gra jest krótkotrwała i odbywa się w gronie zamkniętym, albo też jest ona urządzeniem „kapitalizacyjnym". Należy wyjaśnić, że tak nie jest, można bowiem bez większych trudności skonstruować plan gry, dla której rezerwa składek będzie ujemna (mniejsza od zera). W tym wypadku przedsiębiorstwo nasze nie odgrywałoby roli kapitalizacyjnej, nie zasilałoby instytucyj kredytowych wkładami, lecz samo by prawdopodobnie korzystało z pomocy instytucyj kredytowych.

2.

Spróbujmy teraz zmienić samą technikę losowania. Czy konieczne są koła lub urny, aby losowanie przeprowadzić. Może by znaleźć bardziej atrakcyjną technikę! Istnieją przecież różne zjawiska t. zw. „losowe" w dziedzinie fizycznej i biologicznej, może by były one dla nas przydatne? Weźmy pod uwagę jakiś rodzaj dóbr. Terminu „dobro" używamy tu w szerokim słowa tego znaczeniu. Dobrem może tu być budynek, meble, towar na składzie, czy towar transportowany, środek lokomocji, czy wreszcie zdolność do pracy zarobkowej, lub nawet „składnik" a raczej może warunek konieczny tej zdolności — samo życie ludzkie. Mamy dokonać takiego wyboru rodzaju dobra, aby każdy uczestnik naszej „loterii" był właścicielem dobra wybranego rodzaju t.j., aby np. był właścicielem budynku, albo aby był zdolny do pracy itd., lub po prostu aby żył. Dlaczego przyjmujemy takie ograniczenie wyboru rodzaju dóbr? Ponieważ chcemy, żeby każdy z uczestników naszej „gry" miał szanse „wygrania", a nowa technika losowania ma polegać na tem, że „wygrywa" ten, czyje dobro zostaje w ustalony z góry sposób *przypadkowo* uszkodzone lub zniszczone.

Zastanówmy się chwilę nad konsekwencjami wprowadzenia nowej techniki losowania. Sam akt „losowania" nabierze pewnej atrakcyjności, a nawet pewnych walorów estetycznych — pożar zamiast wyciągania numerów z koła, co za korzystna z punktu widzenia powieści sensacyjnej zmiana! Są jednak konsekwencje nieco bardziej doniosłe — „wygrana" staje się odszkodowaniem za straty spowodowane przez zjawiska losowe, nasze przedsiębiorstwo straciło charakter rozrywkowy, nasza działalność nabrała dużej doniosłości społeczno - gospodarczej, łagodzimy bowiem niekorzystne skutki zjawisk losowych. Poszkodowany przez realizację ryzyka, dostaje odszkodowanie, na które złożyli się wszyscy ci, którzy byli ryzykiem zagrożeni, lecz jego realizacji szczęśliwie uniknęli. Inna konsekwencja zmiany techni-

ki losowania: moglibyśmy przed tem sporządzać zupełnie precyzyjne plany gry, obecnie możliwa już jest tylko kalkulacja przybliżona, oparta na dostatecznie obszernych materiałach statystycznych. Trzeba więc będzie teraz bardzo ostrożnie kalkulować składkę. Zwróćmy uwagę na jeszcze jedno ograniczenie dopuszczalnych zmian techniki losowania: w planie B prawdopodobieństwo wylosowania miało być stałe, w planie C natomiast rosnące w miarę upływu okresu uczestnictwa w grze. Wobec tego prawdopodobieństwo wylosowania w planie B można zastąpić przez np. prawdopodobieństwo pożaru budynku, natomiast w planie C — przez prawdopodobieństwo śmierci lub inwalidności, gdyż te prawdopodobieństwa rosną w miarę upływu lat życia ludzkiego.

Jeżeli spłaszczymy mniej lub więcej jakąś np. kulę, to otrzymamy nową bryłę, która nie będzie już kulą. Jak wiadomo, spłaszczona kula nie jest kulą. Zdarza się często, że jeżeli przedmiot pewnego typu, powiedzmy typu X, poddamy pewnym przekształceniom, to otrzymamy w rezultacie pewien przedmiot, który już nie należy do typu X, ale do jakiegoś typu np. Y (gdzie $X \neq Y$). Jeżeli w omawianej przez nas grze losowej zmienimy „technikę losowania" w sposób wyżej scharakteryzowany, to otrzymamy nowe urządzenie, które nie będzie już grą losową, ale ubezpieczeniem. Pewne cechy urządzenia pozostaną jednak nie zmienione, dotyczy to w szczególności roli „kapitalizacyjnej" urządzenia i jego konstrukcji finansowej. Jak czytelnikowi wiadomo, historycznie rzecz biorąc, ubezpieczenia nie powstały z loterii, ani innej gry losowej, nie są też one grą losową, nie mniej zachodzą pewne podobieństwa między urządzeniami obu rodzajów, podobieństwa, które przydatne być mogą przy omawianiu konstrukcji finansowej i roli kapitalizacyjnej ubezpieczeń.

STEFAN MEYER

OKRĘŻNEMI DROGAMI

Program przebudowy strukturalnej przemysłu w Polsce musi być wyraźny, jasny i jawny.

Okrężnemi drogami prowadzi Opatrzność umysły ludzkie do prostych rozwiązań. Znakomity fizyk niemiecki H. Helmholtz skarżył się, że proste dowody słuszności swoich tez, proste rozwiązania zagadnień rezonansu znajdował pod koniec swoich dociekań. Do pierwszych rozwiązań dochodził okrężnemi drogami i dowody pierwsze nie miały tej siły przekonania którą im daje jasność i prostota.

Koncepcje gospodarcze, a zwłaszcza koncepcje polityki gospodarczej, też okrężnemi drogami dochodzą do prostych i jasnych postaci. Nie odrazu przyjmują one postać wyraźną i zrozumiałą dla otoczenia. Przez szereg miesięcy, bodaj lat zainteresowani w rozwiązaniu zagadnienia szukają poomacku, empirycznie, po znachorsku poprawy. „Zainteresowani" w innym znaczeniu podsuwają pod terminologię grupy pierwszej inną, pokrewną treść. Prasa pseudofachowa popularyzuje pojęcia w sposób opaczny. Właściwie popularyzuje słowa. W rezultacie takiej „działalności", powstaje w społeczeństwie chaos, recte mętlik, o którym wielki wieszcz Młodej Polski powiedział: „znam, zanadto dobrze znam".

Ostatnio mamy do zanotowania nowe pomieszanie języków. Jest nim sprawa „usystematyzowania interwencjonizmu" i powołanie „komisji do badania interwencjonizmu", tudzież redakcja komunikatu w tej sprawie. Komunikatu z 22 lutego br. [1]).

Wpierw ustalenie terminów i definicje pojęć.

„Gospodarka Narodowa" definiowała interwencjonizm i wyciągała z tej definicji wnioski. Ale było to tak dawno, że bez mała przestało być rzeczywistem.

[1]) Tekst ogłoszony w „Gazecie Polskiej" z dn. 22.2.38 r. uważać będę za tekst autentyczny.

Definicja podana przez „Gosp. Nar." [1]) brzmi:

„Interwencjonizm jest okresem, bądź ustrojem, w którym *na wniosek zainteresowanych* grup regionalnych lub branżowych zarówno producentów, jak konsumentów, albo innych osób wzgl. organizacyj występujących w roli rzeczników interesów wspomnianych grup, — władze państwowe używają dostępnych środków dla polepszenia stanu gospodarczego zainteresowanej grupy". Akcja Państwa nie jest interwencjonizmem, lecz przejawem gospodarki kierowanej, o czem niżej.

Dziś po 6 latach bezmała nie mam nic w tej definicji do zmienienia. Być może, że jest to skutek grzechu głównego, pychy autora, być może, że jest to skutek po prostu dobrze przemyślanej definicji, która wytrzymała próbę życia.

Zainteresowani czytelnicy znajdą za definicją wnioski. Wniosek III brzmi: „Interwencjonizm jest ustrojem z istoty rzeczy przejściowym", poczem następuje wskazanie 2-ch ujść tego ustroju: albo powrót do liberalizmu, albo przejście w ustrój gospodarki kierowanej. W 1932 roku nazywaliśmy ten ustrój: ustrojem gospodarki planowej. Zamiana słowa „planowa" na słowo „kierowana" to druga poprawka definicji 1932 roku. Pierwsza nastąpiła bowiem w Nr. 13 „Gospodarki Narodowej" z 1.7.1932 r. w artykule pt. „Przemyśleć do końca", w którym wprowadziłem termin: „Gospodarka programowa", definiując ją jako ustrój, „w którym źródło inicjatywy interwencji leży w rządzie, a kryterium interwencji jest ustalona hierarchia celów gospodarczych".

[1]) Z 15.4.1932 r. w Nr. 8 na str. 116.

I oto nie minęło lat sześć, a to co było podane przez „Gosp. Nar." jako czysta teoria, staje się zagadnieniem dnia. Staje przed nami jako rzecz nowa, której rozwiązania szukać należy nie na prostej drodze.

Cóż za uciecha dla tego, kto pisał że interwencjonizm jest ustrojem z istoty rzeczy przejściowym! że musi mieć ujście w liberalizmie lub gospodarce programowej. Wszak tylko jedno słowo należy poprawić. Interwencjonizm może znaleść ujście w ustroju gospodarki coprawda kierowanej lecz bezprogramowej.

Cały rozdział II komunikatu z 22.2.38 r. to stwierdzenie, że bezprogramowość dłużej trwać nie może. że stan gospodarki kierowanej bez programu jest stanem nieznośnym. Nieznośnym nie tylko dla abstrakcyjnego spekulanta umysłowego ale i dla polityka gospodarczego w jego codziennej pracy. Rozdział I tegoż komunikatu stwierdza, że narzędzi interwencji jest dość. Oba pierwsze rozdziały przypominają poniekąd ten ustęp Latopisu Nestora, w którym poselstwo słowian nowogrodzkich tłomaczy Waregom cel swej misji.

Ale jest między rzecząpospolitą Wielkiego Nowogrodu, a polską rzeczywistością, jedna istotna różnica. Nowogród posyłał do obcych po głowę. Komunikat zwraca się do swoich po? Nie po głowę, nie po narzędzia, a po nowy organ, a raczej zespół organów, nie państwowych, nie prywatnych, z istoty rzeczy niemogących decydować w sposób jednolity.

Mamy więc następujący stan rzeczy: jest ośrodek dyspozycji, jest gospodarka kierowana, są narzędzia, nie ma programu.

Czegóż więc chce komunikat? Chce podmiotu, który mógłby stosować istniejące obecnie narzędzia interwencji w sposób dostosowany „do potrzeb państwa, jego obronności i życia gospodarczego". Cóż się proponuje? 10 przymusowych związków branżowych.

Dla laika wydawało by się, że skoro przyczyną akcji jest niemożność zapewnienia czynnikowi urzędowemu kilkudziesięciu mózgów, mogących bezstronnie, rozsądnie i w sposób zdecydowany w imieniu Państwa i w interesie Państwa stosować istniejące narzędzia interwencji, to należy się zdobyć na wysiłek i te mózgi zapewnić. Inicjatorzy, jak się dowiadujemy z konferencji prasowej, chcą mieć 10 przymusowych związków branżowych.

Koncepcja laika kosztuje powiedzmy 20 razy 20 tysięcy rocznie, powiedzmy 40 sił pomocniczych po 5 tysięcy rocznie, łącznie, razem z woźnymi opałem, światłem i papierem zł. 800.000 rocznie. Koncepcja fachowców kosztuje conajmniej półtora miliona, ale zato obciąża „mózgi" nie tylko obowiązkiem obrony interesów państwa, lecz i taktyką gry międzyzwiązkowej; lecz i myślą o tem, jak podejść ministerstwa w interesie branży. Bo jedno trzeba sobie powiedzieć otwarcie. Dyrektor czy funkcjonariusz związku branżowego, wolnego czy przymusowego będzie w rozwoju tej branży widział najlepszą rękojmię swej osobistej kariery.

Ale, twierdzą fachowcy (komunikat z 22.2.38 r., rozdział III, uwagi ad a), że Ministerstwo Przemysłu i Handlu ze względów budżetowych i uposażeniowych .... nie może skoncentrować w swym ręku urzędowego interwencjonizmu". Chwalebna szczerość, smutna rzeczywistość. Co to ma bowiem znaczyć? Istnieją 2 tłomaczenia. Albo w warunkach polskiego zakłamania, łatwiej zmusić ludzi do wydania dwukrotnie większej sumy poza jawnym budżetem państwowym niż jej połowy w budżecie. Albo też jest to potwierdzenie znanego stanu rzeczy, że poziom płac w centralnych urzędach Państwa jest zbyt niski, aby te urzędy były atrakcyjnemi na rynku pracy. że mało kto zechce brać na siebie wielką odpowiedzialność za małe pieniądze. A że budżet nie wytrzyma generalnej podwyżki uposażeń, stąd wadliwa struktura organizacyjna i funkcje państwowe spełniane pokątnie przez obywateli, których wynagrodzenie płynie z opłat przymusowych.

Komunikat wyraźnie wspomina o innej przyczynie, dla której Min. Przemysłu i Handlu nie może opanować interwencjonizmu. O płynności kierownictwa. Tu już wkraczamy w dziedzinę nie polityki gospodarczej a polityki personalnej. Jeśli istotnie polityka polska nie znosi ciągłości personalnej, jeśli jak mnie jeden z urzędników państwowych pouczał, każdy gracz w tenisa przychodzi na plac z własnemi piłkami, to zrozumiałą staje się troska, aby ciągłość linii postępowania uratować, usuwając ją poza aparat zależny od centralnych władz państwowych. Tylko czy to w ogóle da się zrealizować. Czy nie jest złudzeniem, że kierownictwo 10 przymusowych związków branżowych może prowadzić stałą politykę państwową, o ile Min. Przemysłu i Handlu jej prowadzić nie może. Coś się zepsuło w państwie duńskim. Albo te trwałe związki staną się niezależne od nietrwałego kierownictwa Min. Przemysłu i Handlu, to gdzież ciągłość gospodarki kierowanej jednolicie zgodnie z interesem państwa?, albo każdy gracz z Min. P. i H. przyjdzie na kort z własnemi piłkami. Wtedy gospodarka „kierowana" przez te 10 związków będzie równie nieciągła jak i kierownictwo Centralnego Organu.

Komunikat wspomina o informowaniu Ministerstwa przez organizacje dobrowolne, branżowe, w sposób „jednostronny". Czy przymusowość tę jednostronność zmieni? Czy lepszy związek branżowy który sam decyduje, czy Ministerstwo którego decyzje są zależne między innymi od „jednostronnego" oświetlenia tegoż związku, ale właśnie „między innymi", a nie wyłącznie.

Nie będę tu powtarzał na temat związków dobrowolnych i przymusowych tych wywodów, które „Gospodarka Narodowa" [2]) opublikowała. Przypomnę tylko, że p. Czesław Bobrowski pisał tam: „...organizacje gospodarcze nie mają szans na tworzenie programów, które by były czemś więcej, niż pośrednim określeniem i scharakteryzowaniem ...ich własnych interesów". Otóż tak samo i nie mają szans na realizowanie „zadań zleconych" w płaszczyźnie innej, aniżeli ich własny interes.

---

[2]) W Nr. 13/1934 r. na str. 199 — 202.

Możnaby proponować, i nie ja jestem pierwszym który to dziś czyni, aby te „zadania zlecone” powierzone były nie organizacjom branżowym, lecz mężom zaufania ad personam. Taki mąż zaufania, fachowiec branży, lecz od niej materialnie niezależny, musiałby być wyposażony w dość duże materialne środki by podołać zadaniu zastępowania Państwa w funkcji choćby częściowej realizacji polityki gospodarczej kierowanej. Byłby to nawrót do feodalizmu, gdyby „mąż zaufania” był nieusuwalny. Mielibyśmy ordynata na bawełnie, ordynata na bekonach, itd. w porządku alfabetycznym, aż do ordynata na złomie i żelazie. Tak, tak. Ale kto by dawał ordynatorom dyrektywy i jakie sankcje za samowolę? Albo ci ordynaci musieliby być ascetami, członkami bractwa, o jakich pisał T. Augustyn [3]), albo...

Tu mi zmęczony czytelnik pozwoli na małą dygresję. Na anegdotę z okresu po Kongresie Berlińskim.

Delegacja bułgarska notyfikująca dworom powstanie nowego księstwa przyjechała do Anglii. Składa wizytę Gladstone'owi. Szef opozycji pyta ich o przyszły ustrój księstwa bułgarskiego. — Ależ oczywiście monarchia konstytucyjna, oparta na parlamentaryzmie, jak w Anglii.

Na co stary liberał odparł: „A czy wy macie dość ludzi materialnie niezależnych, aby parlament mógł rzetelnie debatować nad dobrem państwa, a nie walczyć o interesy?” [4]).

A czy my mamy dość ludzi materialnie niezależnych aby stali się powiernikami Ojczyzny i realizowali jej cele w stosunku do branż?

Jeśli nie, to lepiej jawnych urzędników państwowych użyć do tego celu. Nadmiar zleconych zadań na barkach organizacji, może nas zaprowadzić za daleko, przed czem ostrzegał Czesław Bobrowski [5]).

Całość zagadnienia ma jeszcze inny aspekt.

Grono inicjatorów odczuwa potrzebę stworzenia aparatury branżowej, opartej finansowo nie na budżecie państwa, i nie na składkach dobrowolnych, a na przymusowych opłatach, obowiązujących podatnika i obywatela, a nie podlegających bezpośredniej normalnej kontroli gospodarki Skarbu Państwa.

Takie podstawy finansowe gwarantują dużą trwałość nowego tworu. Czy twór nie będzie trwalszym od inicjatorów? Przypuśćmy, że grono inicjatorów zostanie awansowane na zaszczytne stanowiska. A tymczasem 10 tworów autonomicznych, bez mała suwerennych, będzie żyć dalej. Pod czyim kierownictwem? Będzie realizować czyje cele? (Dwudziestu zbędnych urzędników z łatwością zlikwiduje w interesie budżetu Państwa sąsiad z Rymarskiej).

I bez takiej aparatury potrafił Dr. Hjalmar Schacht być przez kilkanaście lat za Weimarskiej Rzeczypospolitej dyktatorem przemysłu Niemiec i im mniej świat to widział, tem lojalniej przemysłowcy spowiadali się przed nim ze swych zamierzeń. Naturalnie: in minimis libertas. Szło o wielkie posunięcia. Jeśli kontrola wielkich posunięć wystarczy, jeśli zbędne jest montowanie maszyny parowej do zdejmowania kaloszy, to zagadnienie sprowadza się do następującego.

Czy inicjatorzy czują się na siłach odegrać w Polsce rolę Schachta? Czy wbrew stwierdzonej w komunikacie z 22.2.38 r. płynności kierownictwa, są dość stali i trwali aby osobiście rolę kierowników i wodzów całokształtu gospodarki polskiej odegrać? Jeśli tak, to trudno. Niech aparatura kosztuje drożej, bo nasi dyktatorzy potrzebę droższego instrumentu odczuwają.

Ale skoro raz już zaczęliśmy mówić o niemcach i Niemczech, to przypomina mi się Goethe i jego „uczeń czarnoksięski”. Załóżmy, że 1) inicjatorzy są dyktatorami, 2) powołali do życia 10 związków. Czy tak skonstruowane, nawpół suwerenne związki branżowe nie wyrosną ponad głowy dyktatorów?

Mielibyśmy do czynienia z powrotem do Polski, wygnanych przez niewolę, królewiąt. Ciekawe pole dla historycznych analogii. I to jest ta druga alternatywa: albo asceci, albo królewięta.

A teraz wróćmy na chwilę do wspomnianego na wstępie artykułu z 1932 r. „Przemyśleć do końca”. Pod koniec artykułu wspomniany jest organ, z pomocą którego społeczeństwo ustali hierarchię celów i narzuci innym inicjatywę ich realizacji. Wówczas w koncepcji piszącego organ ten miał być zalążkiem biura planowego. Od 1932 r. wiele się w Polsce zmieniło. Jeden zalążek biura planowego, komisja dla uzgadniania zakupów państwowych, która mogła być ośrodkiem programu produkcji przemysłowej na najbliższe okresy — nie odbił się na programowości polityki przemysłowej w Polsce. Drugi ośrodek, Biuro Studiów Funduszu Pracy, które mogło być ośrodkiem planującym zatrudnienie sił roboczych w Polsce, odegrało rolę większą, ale nie narzuciło swej inicjatywy polityce gospodarczej Państwa.

Powstałe przy Min. Skarbu biuro ekonomiczne nie odegrało jeszcze wyraźnej roli przy wspomnianej przebudowie, ale może się rozwinąć w zaczątek organu planowania.

Czy należy zacząć od stwarzania organów zastępczych branżowych, które będą spełniać funkcje zlecone przez Ośrodek. Czy wpierw jasno powiedzieć jaki ośrodek będzie dysponował, kto będzie Rurykiem. Nie zagadnienie ręki, a zagadnienie głowy jest tu istotne. Powiedziałbym, że sprawa kierowania rozwojem przemysłu w Polsce jest sprawą, którą należy rozpocząć nie od podstaw a od szczytów.

Gdy zrozumiemy kto decyduje i w jakim kierunku decyduje, wówczas jasną się stanie i hierarchia środków i struktura organów wykonawczych. Wówczas zbędnem będzie chodzenie okrężnemi drogami.

---

[3]) „Gospodarka Narodowa”, 1932 r., str. 213.
[4]) Wg. ustnej tradycji. Powtarzam za generałem Borysem Sirmanowem z Sofii.
[5]) Str. 307 „Gosp. Nar.” z 1932 r.

BOHDAN ŻOŁĄTKOWSKI

MOŻLIWOŚCI SPOŁECZNEJ AKCJI BUDOWLANEJ

Konstrukcja wyraźnego programu polityki budowlanej, opartego na zupełnie nowych podstawach, staje się polącą koniecznością.

Pierwszy Polski Kongres Mieszkaniowy stanął na stanowisku, że publiczny kredyt budowlany powinien być przeznaczony wyłącznie na potrzeby budownictwa mieszkań społecznie niezbędnych t. zn. mieszkań małych i tanich dla pracowników najemnych. Pogląd ten wydaje się całkowicie słuszny; prawda, że środki publiczne powinny zaspakajać potrzeby publiczne, nie wymaga uzasadnienia, aczkolwiek, prawdę tę trzeba czasami przypominać.

Podzielając stanowisko Kongresu próbowaliśmy już [1]) wskazać, że także i z innych względów natury ogólnogospodarczej nasza polityka budowlano - kredytowa jest niesłuszna, a nawet sprzeczna z jakotako konsekwentnym planem unowocześnienia ekonomiki kraju.

Niestety nic nie wskazuje na to, aby polityka ta miała być zaniechana. Instytucja, będąca u nas głównym rozdzielcą pożyczek budowlanych, ocenia dodatnio wyniki swej pracy. Przedstawiciel jej z zadowoleniem podkreślił w swym przemówieniu sejmowym, że kredyty B. G. K. przyciągnęły do budownictwa w roku 1937 tak znaczną sumę kapitałów prywatnych, że kapitały te pokryły prawie 80% sum przebudowanych. Ale... ale odsetek małych mieszkań 1- i 2-izbowych w tak sfinansowanym przyroście mieszkaniowym spadł do 38% i jest najwyższy od chwili zapoczątkowaniu polityki faworyzowania budownictwa prywatnego. Posiłkując się cyframi przytoczonemi przez dr M. Chechlińskiego [2]) (i zestawiając je z temi, które podałem w poprzednim artykule) stwierdzić nietrudno, że im większe sukcesy odnosi B. G. K. w dziedzinie mobilizacji prywatnych kapitałów budowlanych, tem gorszy jest efekt społeczny tego budownictwa. Słuszną więc jest teza, iż nie na tej drodze osiągnie się poprawę naszej struktury mieszkaniowej.

Niezbędne jest w tym celu podjęcie szerokiej akcji przez czynniki publiczne z państwem i samorządem na czele.

Istniejący w tej chwili publiczny kredyt budowlany w sumie około 40 mil. zł., nawet gdyby w całości został przeznaczony na sfinansowanie budownictwa społecznego, byłby oczywiście zupełnie niewspółmierny z istniejącemi potrzebami. Znane już obliczenia T. O. R-u ustalają, że w celu zlikwidowania w ciągu 20 lat przeludnienia małych mieszkań (a to jest istota sprawy mieszkaniowej) należało by w ciągu tego okresu rok rocznie asygnować z pieniędzy publicznych 131.5 mil. zł. i to przy założeniu, że połowa lepiej wyposażonych kandydatów tych mieszkań sama dostarczy funduszów na budowę. To założenie wydaje się dość dowolne, ale nie znając jego uzasadnienia, nie podejmujemy dyskusji. Przyjmujemy postulat T. O. R-u (wraz z przydługim terminem 20-letnim), podkreślając raz jeszcze rozpiętość między potrzebami budownictwa społecznego (które, rzecz jasna, w obecnych warunkach z roku na rok rosną) a środkami, które mu się w danej chwili ofiarowuje; stwierdzamy wreszcie pilną potrzebę wyjścia poza ciasne i od kilku lat usztywnione ramy 40 mil. zł. kredytu budowlanego. Wydaje się, że kto pozostając w tych ramach ogranicza się do żądania podniesienia kredytu torowskiego z 10, na 12, 15 a choćby nawet na 20 mil. zł. — ten wystawia sobie jedynie świadectwo niezrozumienia istoty problemu.

Czas już chyba najwyższy zrozumieć, że zadań tej miary, przed jakimi stoi państwo w dziedzinie budownictwa społecznego, nie rozwiązuje się jednym czy drugim milionem dodatkowego kredytu; że chodzi tu o to „jaka część dochodu społecznego może, wzglednie musi, być obrócona na potrzeby budownictwa mieszkaniowego" [3]), a nawet więcej: w jaki sposób spowodować przeznaczenie określonej części dochodu społecznego na potrzeby tego budownictwa. Chodzi więc, innymi słowy, o sposoby mobilizacji środków publicznych dla państwowego funduszu budowlanego.

Nie wydaje się możliwe, aby z istniejących źródeł dochodów zarówno państwa jak i samorządów, środki te dało się wydatniej zwiększyć. Ulokowanie na rynku krajowym pożyczki budowlanej również nie jest prawdopodobne — zagraniczna zaś w ogóle w rachubę nie wchodzi; zresztą, kredytu tak taniego, jaki jest potrzebny budownictwu społecznemu, nie udzieli nikt ani w kraju, ani zagranicą.

Nie ma innego sposobu dla zwiększenia państwowego funduszu budowlanego, jak stworzenie nowych, specjalnych źródeł dochodu [4]). W rozważaniach poniższych wychodzimy z założenia, że „poparcie budownictwa w najskromniejszych nawet rozmiarach wymaga stałego i wydatnego obciążenia ludności miast przez dłuższy okres czasu" [5]). Cała rzecz jednak w

[1]) Gospodarska Narodowa 1.I.1938.

[2]) Drogi Polski 1.II.1938.

[3]) Teodor Teoplitz — przedmowa do pracy Zdzisława Grabskiego p. t. Kryzys mieszkaniowy w Polsce. Warszawa 1930.

[4]) Z miesięcznika „Dom. Osiedle. Mieszkanie" Nr. 10—11 r. 1926 dowiadujemy się, że jeden z uczestników wycieczki poselskiej zwiedzającej budowy T. O. R. w Warszawie i Gdyni oświadczył: „Wszystko to byłoby piękne, gdyby nie było zdudowane za pieniądze podatkowe". No, a z czego T. O. R. ma budować — czy z loterii fantowej?

[5]) Czesław Klarner — Polityka mieszkaniowa w Polsce i zagranicą. Warszawa — 1930.

tem, kto ma ponosić ciężary daniny mieszkaniowo-budowlanej.

„Brak nam miliona izb" — tak określono ostatnio rozmiary głodu mieszkaniowego w kraju. Już sama miara tej klęski każe się domyślać, że ma ona za sobą rodowód kilku pokoleń ludzkich, że narastała w ciągu dziesięcioleci.

Oto klasyczna chyba analiza wpływu, jaki rozwój przemysłu w pierwszej połowie zeszłego stulecia wywierał na położenie mieszkaniowe pracowników najemnych:

„...Te kilkaset domów, które stanowią stary Manchester, dawno już zostały opuszczone przez swych pierwotnych mieszkańców; tylko przemysł napchał je tłumem robotników, którzy je teraz zamieszkują; tylko przemysł zabudował wszystkie zakamarki między starymi domami, by dać schronienie masom, które ściągnął z okolic rolniczych; tylko przemysł umożliwił właścicielom tych chlewów wynajmowanie ich na mieszkania ludziom za wysoką opłatą, wyzyskiwanie nędzy robotników, rujnowanie zdrowia tysięcy ludzi, by tylko siebie wzbogacić; tylko przemysł uczynił możliwym to, że ledwo zwolniony od pańszczyzny robotnik stał się znów bezdusznym przedmiotem, używany jest jako rzecz, zapędzany do mieszkania zbyt złego dla kogokolwiek poza nim, w którym za tak ciężko zapracowane pieniądze może on mieszkać tak długo, aż dojdzie ono do stanu zupełnego zniszczenia... W miarę rozwoju przemysłu rosła cena ziemi, a im bardziej rosła ona, tem bardziej bezmyślnie i bezplanowo budowano bez żadnej troski o zdrowie i wygody mieszkańców, jedynie z myślą o możliwie największym zysku; nie ma bowiem tak wstrętnej nory, w której nie można by umieścić nędzarza, nie posiadającego środków na opłacenie lepszej".

Ten akt oskarżenia przeciwko budownictwu spekulacyjnemu został sporządzony w Anglii przez jednego z teoretyków socjalizmu przed z górą dziewięćdziesięciu laty. Tylko, że my czytając go mamy przed oczyma młodsze od Manchesteru Bałuty i Wolę, Górniak i Powiśle.

Inna rzecz, że w latach powojennych sprawa mieszkaniowa na tle powszechnego kryzysu nabrała pewnych cech nowych, których dawniej nie ujawniała. Standart mieszkaniowy poszczególnych grup robotników wyrównywa się coraz bardziej w dół. Gdyńskie „Pekiny" i „Budapeszty" są może najjaskrawszym przykładem tego, że przedsiębiorczość prywatna, niezdolna do rozwiązania szeregu podstawowych problemów gospodarczych, likwiduje swą działalność w dziedzinie budownictwa mieszkań robotniczych, chociaż z jej punktu widzenia chodzi tu przecież o zachowanie sprawności roboczej pracowników najemnych.

Historyczny moment, ukryty w zagadnieniu mieszkaniowym, wyrażający się u nas w „braku miliona izb" powinien decydować o rodzaju środków, jakie się wybiera w celu podjęcia masowej, społecznej akcji budowlanej.

I dlatego wydaje się, że ten punkt uchwały Kongresu Mieszkaniowego, który domaga się stworzenia niezbędnych funduszów drogą opodatkowania przemysłu, prywatnych właścicieli domów czynszowych i placów niezabudowanych, oraz żąda skierowania do budownictwa mieszkań społecznie najpotrzebniejszych wszystkich wolnych funduszów instytucji ubezpieczeń społecznych — że ten punkt powinien być bliżej zbadany.

W ramach tych uwag i na podstawie posiadanego przez nas w tej chwili materiału nie jest możliwe ustalenie, jakie sumy mogłyby być osiągnięte z tych źródeł. Celem naszym jest raczej ogólna charakterystyka ich i uzyskanie informacji, potrzebnych do dalszych dochodzeń.

Dygresja historyczna miała na celu podkreślenie, że postulat obciążenia podatkowego pracodawców uważamy za bezwzględnie uzasadniony. Obowiązek pracodawców opłacania podatku na rzecz budownictwa mieszkań robotniczych powinien być traktowany zdaniem naszym, analogicznie do przymusowych świadczeń na rzecz ubezpieczeń pracowników, obowiązek tem większy, że zaległości historyczne w tej dziedzinie są szczególnie znaczne. Za podstawę opodatkowania trzeba by zapewne przyjąć zarobki pracowników. Według statystyki, zarobki wypłacone robotnikom i pracownikom umysłowym ubezpieczonym w Z. N. S. (bez robotników rolnych i bez etatowych robotników i pracowników państwowych i samorządowych) sięgały w roku 1934 w przybliżeniu sumy 2.063 mil. zł. Cyfra ta jest raczej zbyt niska, ponieważ za podstawę przyjmuje ilość robotników i pracowników w końcu roku, nie obejmuje zatem szeregu przemysłów sezonowych. Suma zarobków pracowników etatowych państwowych, wraz z pracownikami przedsiębiorstw i monopolów wynosi rocznie około 1.500 mil. zł. Razem więc sumy zarobków wypłaconych w roku 1934 pracownikom najemnym (bez samorządowych) sięga ok. 3.500 mil. zł. Oczywiście cyfra ta zmienia się dla poszczególnych lat w zależności od sytuacji gospodarczej, nie jest wszakże konieczne dla naszego celu badanie tych zmian. Sumę tę w każdym razie trzeba uznać za poważną podstawę do opodatkowania.

Opodatkowanie nieruchomej własności miejskiej na rzecz budownictwa społecznego wydaje się nie mniej uzasadnione, niż obciążenie przemysłu. W szeregu państw w latach powojennych dało ono efekt bardzo poważny. Opodatkowanie to byłoby u nas tembardziej słuszne, że hipoteka własności nieruchomej w miastach, obciążona przed wojną do wysokości 70% wartości, została dzięki dwukrotnej dewaluacji oddłużona bardzo poważnie i spadła do wysokości 11%. Nie ma żadnej racji, aby korzyści z tego tytułu monopolizowali właściciele domów czynszowych. I to tembardziej, że korzyści te są kapitałem społecznie martwym: bo jeżeli nawet kamienicznik przedwojenny coś dzisiaj buduje, to nie to, co jest społecznie potrzebne. Podstawą opodatkowania byłaby tutaj roczna suma czynszów mieszkaniowych wynosząca obecnie zapewne około 1.000 mln. zł [6]). I w tym wypadku nie próbujemy orzec, jaką część tej

[6]) Czesław Klarner we wspomnianej już pracy szacował tę sumę w roku 1930 na 850 mil. zł.

sumy należałoby przeznaczyć na budownictwo społeczne; zaznaczamy jedynie, że w Niemczech dla mieszkań, w których czynsz osiągnął poziom przedwojenny, wprowadzono w swoim czasie podatek w wysokości 40% czynszu. Przypuszczać trzeba, że zastosowanie progresji przy ustalaniu tego podatku miałoby tę zaletę, że hamowałoby lichwę w nowych domach czynszowych.

W nowopowstających ośrodkach przemysłowych słuszne byłoby wprowadzenie podatku od przyrostu wartości nieruchomości. Już z doświadczeń C. O. P. wiadomo, jak wielką rentę bez żadnego wysiłku uzyskują zasiedziali posiadacze nieruchomości w takich okolicach.

Polityka podatkowo - terenowa nie jest dotychczas wyzyskiwana dla intensyfikacji ruchu budowlanego. Że terenami niezabudowanymi w miastach nie interesowano się z punktu widzenia podatkowego, świadczy o tem brak nawet przybliżonego szacunku wartości tych terenów. Nic dziwnego, że w tych warunkach podatek od niezabudowanych terenów w Warszawie dał w 1933 r. tyle, co... opłaty od psów [7]). Intensywne i progresywne opodatkowanie terenów niezabudowanych nie tylko poważnie zasiliłoby państwowy fundusz budowlany, ale mogłoby uniemożliwić przetrzymywanie gruntów i uprawianie nadmiernej spekulacji gruntowej.

[7]) Stanisław Rychliński. Samorząd Terytorialny — 1936 zesz. 3 i 4.

Poruszyliśmy tylko kilka zagadnień dotyczących finansowania budownictwa społecznego, z tym zresztą przeświadczeniem, że wymagają one dalszych badań i konkretyzacji. Sprawę mobilizacji rezerw zakładów ubezpieczeniowych pominęliśmy świadomie, jako sprawę odrębną. Przytoczone dane posiadają wartość jedynie orientacyjną, wydaje się jednak, że w pewnym stopniu charakteryzują wydajność tych źródeł, do których prędzej czy później trzeba będzie sięgnąć, w celu dostarczenia środków dla budownictwa społecznego. A jeżeli tak, to trudno oprzeć się pokusie skonfrontowania tych danych z potrzebami budownictwa. Roczny plan finansowy T. O. R-u wymaga 131 mln. zł; przy założeniu, że cały publiczny kredyt budowlany (40 mln. zł) zostanie skierowany do budownictwa społecznego — brakuje jeszcze 91 miln. zł. Uchwycona przez nas szacunkowo suma ok. 4.500 miln. zł, jako podstawa do opodatkowania powinna być, jak z innych informacyj wynika, znacznie większa. Ale na realizację programu budowlanego T. O. R-u wystarczałoby przeznaczenie niespełna 2% wymienionej sumy. Wykorzystanie innych źródeł, których szacowanie jest w tej chwili niemożliwe, obniżyłoby ten niewysoki odsetek jeszcze bardziej.

Nie wydaje się, by likwidacja przeludnienia małych mieszkań wyznaczała cel ostateczny budownictwa społecznego. To tylko jest pewne, że nawet dla tej wstępnej fazy poprawy warunków mieszkaniowych pracowników najemnych konieczny jest szeroki program, oparty na całkowicie odmiennych niż obecne zasadach.

UWAGI

O PROGRAM POLITYKI SPOŁECZNEJ

Doroczne sprawozdania dyrektora Międzynarodowego Biura Pracy, Harolda Butlera, zdobyły już sobie poważanie i pochlebną ocenę daleko poza kręgiem uczestników Międzynarodowych Konferencyj Pracy, którym są przedkładane. Interesują się nimi i cytują je ekonomiści na obu półkulach, a i w Polsce ukazało się na ich tle parę artykułów w czasopismach, zajmujących się sprawami gospodarki społecznej. Nic w tem przecież dziwnego: poza urzędowym kwartalnikiem Ministerstwa Opieki Społecznej nie istnieje w Polsce pismo poświęcone polityce społecznej, a z czterech rozdziałów, składających się na ostatnie sprawozdanie Butlera, jeden zaledwie — najkrótszy — zajmuje się Międzynarodową Organizacją Pracy, o treści zaś trzech pozostałych świadczy końcowe stwierdzenie, iż polityka społeczna „nie jest już uważana za dziedzinę odrębną o drugorzędnym znaczeniu, ale za element zasadniczy i najdrażliwszy całego kompleksu spraw gospodarczych, finansowych i politycznych". Pogląd ten jest, zdaniem Butlera, wspólny wszystkim państwom — demokratycznym, totalnym, czy kolektywistycznym — podobnie jak bez względu na ustrój polityczny, używane są przez nie analogiczne metody w stosunku do eksploatacji bogactw naturalnych kraju, popierania przemysłu, kontroli produkcji, rynku i cen, regulowania kredytu i waluty, oddłużenia wewnętrznego i nowego podziału dochodów. Jedne państwa dążą temi drogami w trosce o rozwój kultury i dobrobytu całego narodu poddając się krytyce nawet tych, których los pragną poprawić. Inne mają na widoku przede wszystkiem wzmocnienie swego ustroju politycznego i militarnego i tym dążeniom podporządkowują cele dobrobytu obywateli.

Sens słów dyrektora Międzynarodowego Biura Pracy różni się bardzo od idei i ducha XIII części Traktaku Wersalskiego, która powołała do życia tę instytucję. Po dwunastu rozdziałach, wykreślających nowe granice polityczne, za podpisem państw mniej lub więcej „kombatanckich" oraz pokonanego, Wysokie Układające się Strony, „powodowane uczuciem sprawiedliwości i ludzkości", dodały ten rozdział XIII, „zważywszy, że pokój może być zbudowany jedynie na zasadach sprawiedliwości społecznej, a pewne warunki pracy są dla wielkiej liczby ludzi niesprawiedliwe, powodują nędzę i niedostatek, co rodzi niezadowolenie, zagrażające pokojowi i harmonii powszechnej". Od czasu, kiedy w ten sposób formułowano zagadnienie społeczne, minęły dwa okresy: do 1929 roku — okres lizania się z ran wojennych, a następnie okres kryzysu, „jaki nie miał dotąd precedensów", w czasie którego zaczęto myśleć kategoriami gospodarczemi — zarówno w państwach demokratycznych, jak totalistycznych i kolektywistycznych. Zagadnienia czasu pracy, płac, ubezpieczeń społecznych, a przede wszystkiem bezrobocia, stały się zagadnieniami gospodarczymi, zupełnie w tym samym stopniu, co np. polityka monetarna. W jednych krajach podstawę do rozwiązywania tych zagadnień w praktyce dał jakiś Statut (Charta), Pracy, jakaś Arbeitsordung, czy swoiście amerykański New Deal. We Francji, na program złożyły się reformy dorywcze, wprowadzone bez powziętego z góry planu: obok niespodzianki, jaką były w tym kraju szeroko dyskutowane na miejscu i za granicą nowe przepisy o czasie pracy, o układach zbiorowych pracy, o uprawnieniach związków zawodowych itd. — reforma statutu Banque de France, wielkie roboty publiczne, kredyty państwowe dla różnych grup gospodarczych — dla rolnictwa i eksportu, dla drobnych przemysłowców i kupiectwa — stworzenie urzędu zbożowego, próby zahamowania zwyżki cen przez akcję kooperatyw, wreszcie pewne zarządzenia przedsięwzięte w wyniku wielkiej ankiety, która badała stosunki w przemyśle.

W Polsce w tym przełomowym okresie ostatniego kryzysu zasługuje na odnotowanie jeden „plus" o ogólnym znaczeniu, świeżo stwierdzony w przemówieniu sejmowym jednego z czołowych mężów stanu. Uświadomiliśmy sobie mianowicie — w przeciwieństwie do rozumowań dotychczasowych — wielką różnicę, zachodzącą w poziomie rozwoju Polski i narodów zachodnio-europejskich, i „skonstatowaliśmy, że koniecznością najbliższą jest przeorganizowanie naszego gospodarstwa tak, ażeby osiągnięta została współczesna, tzn. dwudziestowieczna, należyta równowaga między wsią a miastem i pełna sprawność aparatury gospodarczej w kraju, pozwalająca na wytrzymanie niebezpieczeństwa wojennego. Oddaliły się już, stały się własnością grupek najbardziej obciążonych nieuctwem, próby rozumowania na podstawie bezpośredniej analogii stosunków naszych i stosunków innych krajów. Już dziś jest rzeczą rzadką, ażeby kto doradzał, byśmy w naszej gospodarce realnej naśladowali, powiedzmy, wzory niemieckie. Już dzieci w szkołach o tem wiedzą, jak zasadniczo różne stosunki mamy tu i tam".

To są prawdy najbardziej ogólne. Ale tuż po nich „wygłasza się jednym tchem hasła natychmiastowego uprzemysłowienia i urbanizacji, hasła najszybszego zatrudnienia w miastach nadwyżek przeludnionej wsi, hasła niezwłocznego dozbrojenia Państwa i jednocześnie liczy i domaga się wielkiego dopływu kapitału i nadmiernych na naszą skalę pomocy skarbowych dla wsi..." Zamazuje się rzeczywistość, mówiąc o planie wielkich robót publicznych, który w stosunku do potrzeb gospodarczych i socjalnych wcale nie jest i nie może być wielki: na prawdziwie wielkie roboty publiczne, tj. na roboty inwestycyjne o zasięgu celów nie tylko gospodarczych, ale i socjalnych — po prostu nas nie stać — to jest jasne. Przecież działamy na rzecz pokoju i sprawiedliwości społecznej w granicach naszych możliwości, jeżeli staramy się przy tych skromnych robotach inwestycyjnych, na jakie pozwalają środki finansowe, nawet przy niezbędnych robotach renowacyjnych, uwzględniać potrzeby rynku pracy. Opinia publiczna wie o rozległych i odległych planach kolonialnych, ale niezależnie od tego, obywatel powinien nauczyć się szukać na pierwszej stronicy swego dziennika nie wiadomości o zwycięstwie, tej lub drugiej strony pod Teruelem, lecz przede wszystkiem informacji, skąd i ilu emigrantów „zarobkowych", pójdzie tego lata

na Łotwę w ramach najbliższego planu migracyjnego. W zeszłym roku wydana została nowa ustawa o układach zbiorowych pracy, a opinia nasza o wiele więcej gorączkowała się analogiczną reformą francuską: ta bowiem podana została do wiadomości w postaci telegramu z sensacyjnym nagłówkiem, podczas gdy suchy komunikat o naszych nowych przepisach nie poinformował nawet otrzymującego go dziennikarza o tem, jak głęboko sięgnęły one w przebudowę ustroju.

Dzieje się tak dlatego, że informowaniu „człowieka ulicy" o rozwoju polityki społecznej, jak i o całej polskiej polityce społecznej, brak kośćca ideowego — brak jednolitej myśli przewodniej. Okres rządów pomajowych nie jest zresztą pod tym względem szczególnie upośledzony. W czasie najbujniejszego urodzaju na „zdobycze społeczne" nie zjawił się ani jeden ich program chociażby na okres najbliższy. Ani wówczas — w sejmach demokratycznych, ani później — powiedzmy, przy demokracji kierowanej — żaden minister, żaden leader opozycji nie wystąpił z planem skoordynowanych zamierzeń socjalnych. Niemcy przygotowywały powszechne ubezpieczenie na wypadek braku pracy — Polska pośpieszyła z nim wcześniej. Niemcy pisały o możności istnienia jednolitego ubezpieczenia społecznego — Polska przygotowywała odpowiednią ustawę. Niemcy mają jednolity Front Robotniczy — w Polsce ma to zrobić ustawa o izbach pracy. W krysztale polskiej polityki (?) społecznej wszystko załamuje się pod idące ex Germania światło ustaw doraźnych, które mają świadczyć o wysokim jej poziomie.

Czy państwo, nie będące ani kolektywistycznym, ani totalistycznym, ani demokratycznym, lecz świadome potrzeby przeorganizowania swego gospodarstwa, chociażby w celach obronności, będzie mogło dokonać owej reorganizacji, nie posiadając wyraźnego programu na odcinku socjalnym? Programu nie tylko ustaw, ale i sposobu ich wykonywania, programu opartego na opinii różnych czynników zainteresowanych, przedyskutowanego publicznie tak, jak dyskutuje się zagadnienia parcelacji rolnej, karteli przemysłowych, lub rzemiosła.

Skoro doszliśmy wreszcie do uświadomienia sobie wielkiej różnicy w poziomie rozwoju Polski i krajów zachodnich, czas najwyższy na taką dyskusję. Jest ona możliwa i — powinna doprowadzić do celu.

f. k.

REGIONALIZM

Co to jest właściwie ten regionalizm — nie wiemy dokładnie. Tem niemniej w tendencjach regionalistycznych jest coś sympatycznego. Im więcej grzeszymy centralizmem, tem chętniej uchylamy kapelusza przed hasłami, mającymi posmak decentralizacji. Im dalej posuwamy się w kierunku gleichschaltowania życia, tem skwapliwiej stawiamy Panu Bogu ogarek uznając prawo do różnic regionalnych. Od strony Warszawy, od strony centralnych ośrodków dyspozycji gospodarczej regionalizm przedstawia się jako próba korygowania przez ośrodki i tendencje lokalne linii generalnej w Warszawie budowanej i przez nią kierowanej, próba mało kłopotliwa i tem bardziej sympatyczna, że pozbawiona większej donioslości. Od strony terenu regionalizm to potrosze wszystko. To forma, jaką przybierają żale po lepszej przeszłości. To teren ekspansji dla jednostek, nie znajdujących możliwości pracy i wyżycia w naszym zbiurokratyzowanym, shierarchizowanym życiu. To swobodniejsza, luźniejsza od innych forma organizacyjna. To również teren walki o problemy, bynajmniej nie mające charakteru regionalnego, o problemy najzupełniej powszechne; to także z pewnością rezultat zatracenia w perspektywie całości kraju szeregu specyficznych, istotnie regionalnych problemów i głębokiego ich wyczucia na niektórych terenach.

Regionalizm gospodarczy znajdował przez szereg lat wyraz przede wszystkiem w pracach o charakterze badawczym. Bez względu na poziom i pogłębienie tych prac ich relatywna wartość jest poważna. Jesteśmy krajem o olbrzymich różnicach, o dużej skali rozpiętości tych różnic. W gospodarstwie społecznym Polski współistnieją najnowocześniejsze formacje gospodarcze etatystyczne i późnokapitalistyczne równolegle do przeżytkowych form gospodarczych wczesno - i przedkapitalistycznych. Różnice stopy życia, uzbrojenia gospodarczego i kultury gospodarczej poszczególnych terenów są znaczne. Postęp techniczny i organizacyjny poszczególnych dziedzin gospodarki jest bardzo nierównomierny. Orientacja w tej złożonej rzeczywistości jest trudna, wysiłek badawczy dla poznania jej jest wciąż niedostateczny. Formy organizacji politycznej i gospodarczej, jakie posiadamy w Polsce, nie gwarantują utrzymania dostatecznego kontaktu z rzeczywistą rzeczywistością, nie wykluczają trwania przez dłuższy okres czasu w złudnych ocenach rzeczywistości. W tych warunkach wysiłek poznawczy podjęty w imię haseł regionalizmu ma zupełnie pierwszorzędne znaczenie, tem bardziej, że można byłoby przytoczyć bardzo wiele argumentów za tem, iż w kraju niedawno zjednoczonym z dzielnic o różnej przeszłości badania w skali regionalnej dadzą w wielu wypadkach materiał cenniejszy, niż np. badanie w przekroju branżowym.

Stawiając na pierwszym miejscu wśród dotychczasowego dorobku tendencyj regionalistycznych prace badawcze, wynikłe z ducha tych tendencyj, lub też wyraźnie w imę potrzeb regionalnych podjęte, nie chcemy bynajmniej odmówić znaczenia drugiej części dorobku regionalistów. Akcenty wniesione do naszej polityki gospodarczej pod wpływem tendencji regionalistycznych, akcenty, które tendencje te chciałyby jeszcze wprowadzić, to także wartości pozytywne. Obawiamy się natomiast, że tendencje regionalistyczne przeżywają dziś swego rodzaju kryzys, który jest chyba rezultatem przerostu formy nad treścią. W kilku terenach zostały wytworzone specjalne komórki organizacyjne, mające na celu reprezentowanie interesów gospodarczych danego terenu, jako całości. Gdzie indziej forma organizacyjna nie jest tak zwarta, natomiast tworzone są bądź porozumienia ad hoc, bądź też utrzymywane są pewne periodyczne kontakty, mające tenże cel na oku. Bez wątpienia nie można dziś nic jeszcze powiedzieć o rezultatach pracy ujętej w tego rodzaju for-

my. Rodzą się jednak pewne obawy, znajdujące niejako potwierdzenie już w pierwszych krokach i wystąpieniach tych organizacji.

Cechą charakterystyczną obecnego etapu tendencyj regionalistycznych jest chęć wyjścia poza badanie, poza prezentowanie w sposób ogólnikowy potrzeb terenu, słowem chęć bezpośredniego już oddziaływania na politykę gospodarczą Państwa. Źródłem ożywienia się tendencji regionalistycznych w tej właśnie chwili i w takiej postaci jest obawa przed pokrzywdzeniem, zlekceważeniem potrzeb poszczególnych regionów, przede wszystkiem na tle koncepcji Centralnego Okręgu Przemysłowego i — szerzej biorąc — na tle bardziej systematycznej i planowej gospodarki publicznymi środkami inwestycyjnymi.

Z wielu względów obecne warunki startu dla akcji regionalnej uznać należy za niekorzystne. Na czoło wysuwają się tu dwa momenty. Niedostateczne jeszcze pogłębienie i spopularyzowanie wyników prac badawczych — z jednej, skoncentrowanie zaś uwagi na sprawie repartycji środków publicznych przeznaczonych na cele inwestycyjne — z drugiej strony. I jeden i drugi czynnik sprawiają, że postulaty regionalne (zarówno słuszne, jak mniej słuszne) nabierają w tych warunkach posmaku prostej walki o większy kawałek niewielkiego bochenka. Rola regionalizmu jest złożona. Niewątpliwie płaszczyzna regionalnych rozważań znakomicie nadaje się do ustalenia, jaką wagę w hierarchii potrzeb danego terenu reprezentują poszczególne linie kierunkowe ogólnej polityki gospodarczej. Jest to niewątpliwie bardzo jednak powolna droga w kierunku wniesienia do ogólnej polityki gospodarczej korektyw w imię realnych potrzeb poszczególnych terenów. Również złożoną jest praca nad wniesieniem do ogólnej polityki gospodarczej tych tendencyj, które dopiero przy rozważaniach regionalnych występują z całą plastyką.

Przykładem działania w pierwszym kierunku byłoby np. stwierdzenie, że dzielnice wschodnie w swym rozwoju gospodarczym muszą uważać za największy hamulec oddalenie od rynków zbytu, że czynnik ten gra szczególnie silnie w stosunku do towarów objętościowych, a więc w stosunku do produkcji rolniczej, stanowiącej na wschodzie pozycję decydującą. Stwierdzenie takie (uważam je za słuszne, ale cytując w danym wypadku jako przykładowe, nie próbuję go uzasadnić) prowadziłoby do wniosku, iż troska Państwa o rozwój wschodu powinna iść przede wszystkiem w kierunku zbliżenia go do rynków zbytu. W tym wypadku na drugi plan schodziłyby zagadnienia takie, jak zagadnienie rabatów kresowych w cenie artykułów monopolowych lub skartelizowanych, jak specyficzne formy pomocy dla przemysłu na wschodzie, a na czoło wysuwałaby się kwestia poziomu taryf, czy raczej degresji w taryfach kolejowych i kwestia budowy linii komunikacyjnych, wydatnie zmniejszających odległość od rynków zbytu.

Przykładem drugiego kierunku działania może być np. zagadnienie upraw ściśle czy prawie ściśle regionalnych, i ich przetwórstwa, zagadnienie, które ma wszelkie szanse „zagubienia się" w ogólnej polityce, jeśli zwłaszcza w grę wchodzi uprawa o dość ograniczonym zakresie (np. uprawa winorośli). I w jednym i w drugim wypadku regionalizm jest napewno tendencją płodną, wzbogacającą naszą politykę gospodarczą i naginającą ją do potrzeb naszej rzeczywistości gospodarczej. I w jednym i w drugim wypadku sukces tendencji regionalnych jest jednak uwarunkowany gruntowną pracą analityczną, pozwalającą ustalić pewną hierarchię celów (zawsze jest trudno z czegoś zrezygnować nawet w imię czegoś ważniejszego), względnie pozwalającą wykryć zbieżność interesu ogólnego z interesem regionalnym. Bez tej zbieżności uwzględnienie interesu regionalnego może być polityką społeczną, polityką polityczną, ale nie jest polityką gospodarczą.

Niestety na ostatnich wystąpieniach regionalnych wyraźnie zaciążyło to, co nazwaliśmy niekorzystnymi warunkami startu regionalizmu w chwili obecnej. W wystąpieniach tych mniejszą rolę odegrały próby marszu w wyżej omówionym kierunku, większą wspomniane poprzednio tendencje o wywalczenie większego udziału przy krajaniu bochenka. Tendencje te mogą być i są w wielu wypadkach usprawiedliwione. Ale nie stanowią nowego wkładu do naszej polityki gospodarczej. Są tylko żądaniami, a nie koncepcjami. A już specjalnie przykry posmak mają żądania wtedy, kiedy głównym argumentem staje się porównywanie — odcinkowe — z przedwojennym stanem rzeczy, który wcale nie wynikał z warunków „regionalnych", lecz z przynależności do obcych organizmów gospodarczych. Ten stan rzeczy mógł i niejednokrotnie uległ pod pewnymi względami pogorszeniu, co jednak nie wynika z lekceważenia w dzisiejszej Polsce interesów regionalnych, które na pewno w polityce gospodarczej państw zaborczych pod uwagę brane nie były.

c. k.

TO ZALEŻY...

Tyle lat toczy się dyskusja na temat etatyzmu i przedsiębiorczości prywatnej. Czas byłby nareszcie zająć w tej sprawie wyraźne i zdecydowane stanowisko, oświadczyć się za lub przeciw. Niestety to niemożliwe, co więcej, byłoby to nawet szkodliwe. Czyż bowiem można odpowiedzieć która z tych form organizacyjnych jest wyższa? — To zależy... Zupełnie inaczej musimy oceniać celowość i możliwość upaństwowienia przedsiębiorstw wielkich już dziś zbiurokratyzowanych, posiadających rynek zbytu stały i określony, a równocześnie odgrywających kluczową rolę w polityce gospodarczej, zupełnie zaś inaczej tych, które pracują w warunkach wolnokonkurencyjnych, powinny zajmować postawę zdobywczą w stosunku do rynku i nie mogą przez swą działalność spaczyć zasadniczych linii ogólnej polityki gospodarczej. No, dobrze, ale może w tym rozróżnieniu tkwi możliwość ustalenia pewnej linii demarkacyjnej pomiędzy terenem właściwym dla etatyzmu, a niewłaściwym? — To zależy... Czasami przecież państwo powinno się podjąć działalności pionierskiej w domenie, którą na zasadzie zacytowa-

nych wyżej kryteriów musielibyśmy zaliczyć do typowej domeny inicjatywy prywatnej. Czasami, a nawet bardzo często można doskonale obyć się bez upaństwowienia kluczowej dziedziny przedsiębiorczości, zyskując na nią dostateczny wpływ dajmy na to przez politykę przywozową.

Weźmy inny przykład. Czy polityka państwa powinna sprzyjać modernizacji technicznej przedsiębiorstw, ich koncentracji, walczyć z rozdrobnieniem i zacofaniem technicznym? — To zależy... W zasadzie z pewnością nie powinno się hamować postępu technicznego. Daleko stąd jednak do świadomego, wyraźnego zachęcania do modernizacji, która w specyficznych warunkach danego kraju prowadzić nieraz może do podrożenia produkcji. Mogą być jednak wypadki np. w dziedzinie przemysłu wojennego, kiedy świadomie należy położyć nacisk na zmodernizowanie przemysłu, stawiając wyżej zagadnienie jakości i zdolności produkcyjnej niż zagadnienie kosztów. Koncentracji przedsiębiorstw w większości wypadków należy sprzyjać, jeśli chodzi o przedsiębiorstwa pracujące na eksport. W stosunku do rynku wewnętrznego — to zależy...

Nie można się również w sposób prosty wypowiedzieć odnośnie zagadnienia interwencji państwowej. Zajęcie stanowiska zależy tu od dziedziny, środków, no i oczywiście przede wszystkiem celów. Napewno niesłuszna jest ingerencja państwa w imię błahego celu nawet wtedy, kiedy środki są łatwo dostępne, a skutek w dużym stopniu pewny. Mogą być cele motywujące ingerencję państwa nawet wtedy, kiedy rezultat jest wątpliwy, a wysiłek bardzo duży, choć przecież w zasadzie pierwszym sprawdzianem powinnaby być ocena szans skuteczności zamierzonej interwencji.

Słowa „to zależy"... musimy powtórzyć w ogromnej liczbie wypadków. Nie znaczy to bynajmniej, by polityka gospodarcza miała być skazana na incydentalizm, na doraźne rozstrzyganie każdego niemal zagadnienia. Sedno rzeczy leży w czem innem. 1. Cele drugorzędne dają się rozstrzygać tylko na tle celów pierwszo-planowych, hierarchicznie wyższych. Stąd też możliwe są zmiany stanowiska co do celów drugorzędnych w zależności od zmian w układzie sytuacji. 2. Sztywne i trwałe mogą być tylko cele, w żadnym zaś razie metody działania. Dlatego też nie ma w polityce gospodarczej recepty zawsze dla każdego skutecznej, lecz są jedynie środki działania słuszne lub niesłuszne w zależności od hierarchii celów.

I jeszcze jedna rzecz. Rzecz tak ważna i tak mało uznawana, że właściwie powinno się mówić o niej odrębnie, a nie mimochodem. Niezmiernie rzadko w życiu gospodarczym mamy do czynienia z możliwością powzięcia decyzji, za którą przemawia 100% argumentów. Niezmiernie rzadko dysponujemy takim stopniem znajomości rzeczy, który pozwala na podjęcie decyzji bez wahania. Niezmiernie często sprawdzianem słuszności zajętego stanowiska staje się możność zwalczenia oporów i odparowania argumentów przeciwnej strony. W interesie trafności decyzyj polityczno - gospodarczych napewno leży, ażeby te opory istniały, aby istniała druga strona, zdolna do prezentowania kontrargumentów. Nie jest to bynajmniej równoznaczne z aprobowaniem oportunizmu; na tej drodze — jeśli oportunizm można nazwać drogą, a nie ślepą ulicą — napewno nie są do uzyskania decyzje trafne. Decyzje trafne podejmowane być mogą tylko w pełnym poczuciu własnej odpowiedzialności, ale też temu poczuciu sprzyja natrafienie na określony rzeczowy opór.

Skoro tak ujmujemy sprawę poszczególnych decyzyj polityczno - gospodarczych, a tem samem i celowość polityki gospodarczej, to czy nie można było by tej tezy podnieść do godności tezy ustrojowej, czy w zagadnieniu ustroju również nie należało by się kierować zasadą „to zależy...", pojmując tę zasadę jako uznanie, iż istnienie sił przeciwstawnych sprzyja sprawności polityki gospodarczej? Oczywiście to zależy... Bowiem gra sił przeciwstawnych przestaje być korzystna dla rozwoju gospodarczego, jeśli doprowadza do takiego stanu rzeczy, w którym nie może powstać żadna odważna i zdecydowana postawa.

c. k.

NOTATKI

WARSZAWSKI TRAMWAJ

Moja 2½-letnia córeczka zabawiała się w ten sposób, że stawała na jednej nóżce obok krzesła, trzymając się jego poręczy. Na pytanie, co robi, odpowiadała, że... jedzie tramwajem.

Pewna pani kupowała przed świętem we wziętej masarni wędliny. Była kolejka, kupujący stojąc posuwali się do ekspedientek. Gdy przyszła kolej na tę właśnie panią, i padło pytanie „a pani?", odpowiedź brzmiała... „kwartalny".

Powiedzonko „tłok, jak w warszawskim tramwaju", jest już przysłowiowe.

Te autentyczne o anegdotycznym brzmieniu fakty nie są w pełni ilustracją jazdy w tramwaju, ale częściowo są napewno. Omawianie „bolączek tramwajowych", napewno nie należy do frapujących tematów. Bolączki te muszą być jednak bardzo istotne i dotkliwe, skoro jedno z poważnych pism warszawskich wprowadziło u siebie taką właśnie rubrykę. Nie zamierzamy proponować zmiany kierunku żadnej linii, ani opisywać konkretnych i częstych wypadków uszkodzenia ciała albo mono- i wielodialogów obywateli, których „krew zalewa na takie porządki". Spróbujmy odtworzyć rozmyślania pewnej kategorii obywateli, skazanej na szczególnie wyrafinowane męki przez dyrekcję tramwajów. Chodzi o tych nierozsądnych, którzy ośmielają się konfrontować swoje wiadomości ekonomiczne z życiem, którzy z tytułu swego wykształcenia, bądź przypadku, wiedzą o tem, jakie są obowiązki i prawa instytucyj użyteczności publicznej, a więc m. i. i tramwajów.

Tramwaje są wyłącznym dostawcą pewnego towaru — usług na rynku, — mają monopol dostarczania obywatelom usług komunikacyjnych. Monopol ten *powinien* wyraźnie różnić się od monopolu prywatnego i *niektórych* monopolów państwowych. Zacznijmy od ostatnich. Niektóre monopole państwowe, np. tytoniowy i spirytusowy, mając wyłączność w dostarczaniu tych używek, mogą mieć na widoku wyłącznie cele fiskalno-handlowe. Inaczej powinna mieć się rzecz z artykułami pierwszej potrzeby, np. z solą. Tu państwo *powinno* mieć na widoku przede wszystkiem interesy najszerszych warstw spożywców. Względy fiskalne nie mogą w ogóle istnieć. Podobnie *powinno być* i z przedsiębiorstwami użyteczności publicznej. W przeciwieństwie do monopolu prywatnego, monopol przedsiębiorstw użyteczności publicznej nie może w swej działalności kierować się motywem osiągnięcia najwyższego zysku. Monopol ten zwany „socjalnym" *powinien* mieć na widoku zaspokojenie *największej ilości* potrzeb obsługiwanych obywateli. Z chwilą, gdy chodzi o zaspokojenie maximum potrzeb klienteli, nie może już chodzić o maximum zysków. Dlatego też przy monopolu społecznym cena powinna być tak skalkulowana, aby była możliwie najniższa, aby pokrywała koszty i umożliwiała dokonywanie koniecznych inwestycyj i renowacyj. O zysku, tem bardziej „możliwie najwyższym", nie może być mowy. Nie znaczy to bynajmniej, że dane przedsiębiorstwo ma pracować rozrzutnie, marnotrawiąc wpływy na zbędne i nieproduktywne wydatki. Monopol socjalny *powinien* być antytezą monopolu prywatnego. Odczuwając na własnej skórze niezgodność postępowania naszych zakładów użyteczności publicznej z ich idealnym założeniem w postaci monopolu społecznego, spójrzmy na działalność tramwajów poprzez pryzmat monopolu prywatnego. Zdamy sobie wówczas sprawę, jak bardzo wyzyskują nas nasze tramwaje przez to właśnie, że zapomniały o swym charakterze społecznym, i że pełnemi garściami czerpią dobrodziejstwa ze swego monopolu faktycznego, traktując go, jako monopol prywatny.

Wyżej była już mowa o tem, że monopol ten jest wyłącznością *podaży* towarów wzgl. usług. Natomiast w zakresie *popytu* na towary (usługi) ze strony odbiorców zmonopolizowanego artykułu istnieje niemal nieograniczona konkurencja. Rozmiary popytu określa cena dóbr (usług), zaspokojenie zaś potrzeb poza tem — rozmiary podaży (wagonów). Gdy podaż jest ograniczona właśnie przez monopol, a cena (nawet wysoka), nie jest prohibicyjna, może zachodzić istotnie „dzika" konkurencja; vide walka o wejście do tramwaju i następnie o miejsce w nim. Konkurencja wyraża się nie w licytowaniu cen, bo te są fixe, lecz we wzajemnym rozpychaniu się, wymyślaniu, niszczeniu ubrań i zdrowia. Popyt na miejsca w tramwaju jest wielkością stosunkowo mało elastyczną, jeśli chodzi o przejazdy na większe odległości. Punktami granicznymi dla niego są z jednej strony: własne auta, taksówki i dorożki, z drugiej zaś ew. przechadzki piesze, np. z Bielan na Mokotów. Przejazd tramwajem jest potrzebą powszechną, podobnie jak korzystający z tramwajowej trakcji są przymusowymi niemal nabywcami tej usługi. Minimalna elastyczność-zamienność usługi, pociąga za sobą sztywność popytu i w konsekwencji stosunkowo słabą reakcję na zmianę ceny usług. Tem bardziej, że — jak to dalej tłumaczymy — zmiana ceny może być dwojaka.

W normalnych, monopolowych warunkach przedsiębiorca, zmierzając do maksymalnego zysku, może osiągnąć cel albo zwiększając cenę i tem samem ograniczając zbyt, albo zniżając cenę i powiększając zbyt, zależnie od tego, która z dróg prowadzi go prędzej do punktu Cournot'a, do maksymalnego zysku netto. Tak jest, gdy chodzi o sprzedaż towaru, gdy w dużym stopniu w grę wchodzą koszta produkcji — szczególnie przy obniżaniu cen. Przy oddziaływaniu zmianami ceny osiąga się odpowiednie efekty w zakresie zbytu. Jednakże zmiana cen może być dwojaka: albo to będzie bezpośrednia zmiana samej ceny, albo też zmiana jakości sprzedawanego dobra i pośrednio zmiana ceny. Przy czem, gdy będzie chodziło o zmianę ceny *towaru*, zmiana taka jest bardziej rażąca i dostrzegalna przez kupującego; gdy będzie chodziło o zmianę ceny *usługi* — zmiana taka może łatwiej ujść w tłoku (w tramwaju bez przenośni). W ten sposób zmiana jakości towaru jest

właściwie zmianą jego ceny. Pasażer płaci te same 20 gr za przejazd tramwajem wtedy, gdy siedzi, gdy stoi na dwóch nogach i gdy na jednej i wtedy wreszcie, gdy wisi na stopniu. Obywatel zdaje sobie sprawę z tego, że go nabierają, bo przed tem przeważnie siedział, teraz przeważnie stoi, lecz ponieważ ma czasami możność usiąść, łatwiej daje się nabrać tramwajom, niżby się dał nabrać na czekoladę, z mieloną cegłą. Tymczasem tramwaje, nie kupując dostatecznej ilości wozów, inkasują na tłoku rentę monopolową (tłokową). Monopolista-tramwaje mogą dowoli „podnosić cenę" w sensie obniżania jakości usługi, gdyż wiedzą, że popyt jest niezmiernie nieelastyczny. W ten sposób tramwaje, obniżając koszty własne „wypinają" punkt Cournot'a, na krzywej popytu niemal w nieskończoność. Inkasują nadmierne zyski zamiast wywiązywać się z obowiązków związanych z faktem posiadania monopolu społecznego.

Popyt na usługi tramwajowe nie jest jednak zupełnie nieelastyczny. Gdy przed paroma laty obniżono cenę biletów tramwajowych, wpływy wzrosły. Jestem pewien, że przybyli podówczas przede wszystkiem pasażerowie na najkrótsze odległości, ci „elastyczni" nabywcy. Podróżni „dalekobieżni" są „sztywnymi" nabywcami, zmuszonymi korzystać z tramwajów niezależnie od ceny, jakości świadczenia i innych okoliczności.

Poruszyliśmy tu posługując się bolesnym przykładem tramwajów warszawkich szersze zagadnienie fałszywego kierunku i metod gospodarowania w przedsiębiorstwach użyteczności publicznej. Sądzić należy, że zagadnienie to posiada w Polsce aspekt szerszy, nie tylko ilościowo, ale również poprzez związek jaki istnieje między taką właśnie polityką a sytuacją finansową miejskiego samorządu terytorialnego.

W świetle powyższych wywodów, postępowanie przedsiębiorstw użyteczności publicznej jest niedopuszczalne nie tylko ze względów społeczno-gospodarczych, lecz i z punktu widzenia moralno-prawnego. Siłą rzeczy narzuca się pytanie, jak temu zapobiec. Odpowiedź jest jedna: odpowiednia kontrola, przy czym mogą być dwa rodzaje kontroli. Kontrola czynnika nadrzędnego, jakim jest państwo wraz z ustawodawstwem i kontrola społeczna. Należy wybrać kontrolę najbardziej skuteczną, może nią będzie połączenie obu wyżej wymienionych. Gide podaje takie rozwiązanie sprawy, które zacytujemy w skrócie:

1. Organizacja samorządowa przedsiębiorstw użyteczności publicznej ze specjalnym budżetem i odrębną osobowością prawną, odrębną od zarządu miasta, oraz rachunkowość obowiązująca przedsiębiorstwa prywatne.

2. Wprowadzenie do zarządów przedsiębiorstw przedstawicieli spożywców.

3. Poddanie przedsiębiorstw społecznych monopolowych, odpowiedzialności, wypływającej z powszechnego prawa, tak jak to ma miejsce w stosunku do przedsiębiorstw prywatnych. Warunek ten dla Gide'a, jest sine qua non, bez którego rozszerzenie atrybucyj tego rodzaju przedsiębiorstw, prowadziłoby do najnieznośniejszej tyranii.

Czy aby nie prowadzi?

q. s.

KULTURA W CUDZYSŁOWIE

W Polsce, kraju biednym, hierarchia potrzeb powinna być ustalona, a po ustaleniu — przestrzegana. Tymczasem, ani pierwsze, ani drugie nie istnieje, mimo, że wszyscy przyznają rację zwolennikom ustalenia hierarchii potrzeb.

Zamiast teoretyzować, damy kilka przykładów.

Zaczniemy od Kielc. Miasto zacofane, ubogie, pozbawione dobrych ulic, oświetlenia i kanalizacji, szkół i hal targowych, nowoczesnych warsztatów pracy, zadłużone po uszy z tytułu nieszczęsnej pożyczki ulenowskiej. Ale posiada za to wspaniały gmach, pałac sportowy, zbudowany naturalnie na miarę Fidiasza, a nie krawca, coś, co imponuje „tym" z zagranicy. Bagatelka, kosztowała albo 8, albo 11 milionów złotych, bo dokładnie nikt tego w Kielcach nie stwierdził, a skromność „nieznanych sprawców" nie pozwala im na ujawnienie swych nazwisk.

Drugi przykład, aż zanadto oklepany, to balet. Kosztował 800.000 zł. czy nieco mniej — nieważne. Faktem jest, że pochłonął dużo. Miał to być zapewne ekwiwalent niefortunnego pawilonu polskiego na wystawie paryskiej, niefortunnego zaś z racji gospodarczo-politycznych, nie zaś, broń Boże, artystycznych.

Trzeci przykład: opera warszawska. „Czerwona" prasa stołeczna, pisząc o strajku okupacyjnym, aż zachłystuje się tytułami o „gorszącym widowisku", o „wstydzie dla kultury polskiej", o „niesmaku i zgorszeniu", o tem wreszcie, że pieniądze dla opery znaleźć się muszą. Nie martwmy się: pieniądze znajdą się zawsze, bo dla opery państwo wygrzebie z dna kieszeni fundusze, jakich nie ma dla kupca i rzemieślnika polskiego, dla rozwoju rolnictwa, dla budowy dróg i kolei. Nie da państwo — to da miasto, które w r. b. z wielkim trudem wyciągnie na inwestycje miejskie 13 mil. zł, kończąc prace zaczęte, bo na nowe, środków już nie stało. Nie martwmy się: pieniądze na operę, instytucję chorą, anachronistyczną, deficytową, będą z całą pewnością...

„Kulturze" duchowej i fizycznej powodzi się w Polsce nienajgorzej. Cierpi na tem kultura bez cudzysłowu.

br.

EKSPORT NĘDZARZY

Z Brazylii sygnalizują, że na skutek polskich przepisów dewizowych emigracja rolna, skierowana z Polski do tego kraju zwiększa zastępy najniższego proletariatu rolnego.

Emigrant nie może zabrać ze sobą tych kilku tysięcy, które dostał za zlikwidowany w Polsce warsztat pracy, bez formalności zbyt trudnych dla rolnika. Nieliczni zwracają się do Komisji Dewizowej przez Syndykat Emigracyjny.

Emigrant kupuje więc w Polsce za swój kapitał narzędzia rolnicze takie, jakie uważa za najlepsze, to znaczy najlepsze w warunkach polskiej produkcji rolnej. W innych warunkach klimatycznych, na innej glebie narzędzia te są mało lub wcale nieużyteczne

i rolnik musi je sprzedać za ułamek ceny, którą zapłacił w kraju.

A jeśli emigrant nie weźmie ze sobą żadnego kapitału poza dopuszczalnem zł 200.— na paszport, to oczywiście nie ma dość na pierwsze zagospodarowanie.

To też emigracja z Polski która nigdy nie była arystokracją imigracji brazylijskiej spada wobec innych imigracji.

Nie wszystkie tereny emigracyjne są przez polskie przepisy dewizowe tak surowo traktowane. Transfer przekazów emigranckich do Palestyny jest ujęty w odpowiednie ramy.

Może Brazylia jest traktowana gorzej od Palestyny bo mniej pożądany element emigruje do Brazylii?

A może element emigrujący do Palestyny gorzej orientuje się w formalnościach dewizowych niż włościanie polscy i dlatego ma wygodne i wyraźne przepisy. A może lepiej chodzi koło swoich interesów? Niezbadane są motywy polskiej polityki demograficznej.

Wyjście jest łatwe: transfer wszelkich sum emigranckich drogą via eksport.

A więc eksport nie wiązany z importem, a z wywozem dewiz emigranckich. Przekaz Zahanu czy Polskiej Kompanii Handlu Zamorskiego na korespondenta w Paranagua lub Victorii, przekaz zapłacony wywozem choćby narzędzi rolnych, ale dostosowanych nie do polskich, a do tamtejszych warunków i wypłacany imigrantom nie w gotówce, lecz w produktach wywożonych z Polski. Jeśli nie całkowicie to w 50 — 60%.

Nie mamy żadnego interesu w emigracji nędzarzy. Nie ma dla nas celu obniżać standard polskiej imigracji na te nieliczne tereny, do których jeszcze emigrować możemy.

k. o.

REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY I WYDAWCA W IMIENIU SPÓŁDZIELNI „GOSPODARKA NARODOWA“
JACEK RUDZIŃSKI

ADMINISTRACJA CZYNNA CODZIENNIE OD 11 DO 13

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: NOWY ŚWIAT 37 M. 15 TELEFON 676-73 KONTO P. K. O. 25.656

PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR. ZAGRANICĄ 6 ZŁ. CENNIK OGŁOSZEŃ NA ŻĄDANIE.

Zakł. Graf. DRUKPRASA, N.-Świat 54. Tel. 615-56 i 242-40.